

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWÉ MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

24

Markiz uściśnął serdecznie dłoń Amerykanina.

— Niech pan mówi dalej, panie Allan, przyznaję panu zupełne prawo do mieszania się, jak się pan sam wyraża, w nieswoje rzeczy. Jeżeli mój syn zostanie uratowany, to czuję, że stanie się to jedynie za pośrednictwem pana. Niechże więc pan mówi do mnie, jak do brata.

— A więc panie de Kermor, to nie febra zabierze panu syna, a mnie przyjaciela, zdala od rodziny jego i jego ojczyzny. Z tej choroby przy wielkich staraniach, które tu mu nie brakną, jeszcze uleczyć się może. Ale to zło, które nurtuje Henryka i stanie się na pewno jego zgubą, to miłość... to ta młoda dziewczyna z portretu... Jest ona jego złem i równocześnie jedynym zbawieniem. Może panu wydaje się to przesadnem, gdyż w tym wieku nie rozumie się już i nie odczuwa tak żywo tych rzeczy, ale ja zdaleka przebywając od ludzi, w zajęciu, które konserwuje młodość duszy — rozumiem go doskonale i rzecz tę biorę poważnie, tak, jak na to zasługuje.

— A jednak jestem zmuszony niestety powtórzyć panu, że niema w tem ratunku dla niego... to jest niemożliwe... wierzę mi... ten cud, o którym marzysz dla Henryka, jest niemożliwy!

— Tak, rozumiem doskonale dlaczego! Ta dziewczyna jest niskiego pochodzenia, nieprawdaż? Wyraz jej twarzy i prostota wskazują to... no i zapewne nie posiada stu tysięcy milionów posagu, to jest oczywista! Ah! te przekłete uprzedzenia kastowe, te zbrodnie popełniane przeciw naturze i zdrowemu rozsądkowi! Szczęście dziecka jest wobec nich błahostką!

Allan, wypowiedziawszy te słowa, zaczął wielkimi krokami przebiegać pokój, nie mogąc już opanować wzburzenia. Wkońcu zatrzymał się przed panem de Kermor i krzyżując ręce na piersiach, zapytał surowym głosem:

— Więc woli pan poświęcić syna i utracić go na zawsze dla głupich światowych obliczeń?

Markiz odczuł obelgę, zawartą w tych słowach, lecz spojrzawszy na wyniosłą i dumną postać Allana stojącego przed nim, nie miał odwagi silniej zaprotestować.

— Myli się pan, panie Allan — odparł z odcieniem niezadowolenia i godności — jestem gotów oczyścić się przed panem z zarzutu, który mi pan czyni, czegobym nigdy nie zrobił dla kogo innego. Jeżeli Janina le Brenn...

Allan cofnął się w tył, jakgdyby przed ciosem nagle odebrany i z przerażeniem spojrzał na markizę.

— Janina le Brenn? — powtórzył zdumiony, patrząc prosto w oczy mówiącego, z wyrazem ciekawości.

— Tak. Tak się nazywa ta młoda dziewczyna, o której obecnie mówimy.

— Ah! więc pan ją zna? Zna ją pan dobrze?

— Znadto dobrze, niestety!

Zechce pan może nie obrażać jej w ten sposób... wytłumaczę panu zaraz dla jakich powodów... Ale na razie proszę, ani słowa o niej w tym tonie.

— Nie obrażam nigdy kobiet, panie Allan, nawet lituję się nad dziewczętami.

— Ubogiemi, to się rozumie. Ta, o której mówimy, pochodzi z Bretanii.

— Z mojego majątku nawet, z Roche-Kermor. Domek jej mieści się nie daleko zamku.

— Pod skałą Per-Roché?

— Zna pan widocznie dobrze te strony?

— Więc — zapytał Amerykanin drżącym głosem — rodzina le Brenn nie wygasła jeszcze zupełnie?

— Pozostała jeszcze ta sierota. Dzięki Bogu, więc ich niema.

Allan z wściekłością wyrwał fotografię Janiny z rąk pana de Kermor.

— Dzięki Bogu! — zawołał z gniewem — Dzięki Bogu! Pan ośmiela się mówić w ten sposób o tej rodzinie! Co za obelga okrutna i niesprawiedliwa! I to mówi markiz de Kermor, szlachcic i potomek sławnego rodu francuskiego! Wolałby pan nieprawdą, żeby i ona już nie żyła i nie stała w poprzek wysokim zamiarom pańskim! Wolałby pan, aby z całej uczciwej rodziny le Brennów nie pozostało już ani śladu, dla pańskiej przyjemności i spokoju! Proszę! Ależ to wspaniała historia! Pan markiz de Kermor

powziął polowanie na miliony i biada temu, kto się ośmieli wejść mu w drogę! Cóż to jest nazwisko le Brenn? Usunie się je łatwo, kiedy przeszkadzać zacznie z nadto!

Roześmiał się z nienawiścią i postąpił ku markizowi z groźnymi błyskami w oczach, lecz uspokoił się nagle i całą siłą woli urobioną przez lata, zapanaował nad sobą i mówić zaczął już spokojniejszym głosem.

— Panie markizie de Kermor, zechciej sobie przypomnieć, że le Brennowie byli zawsze dzielnymi korsarzami, którym nadano niegdyś szlachectwo za waleczne czyny odniesione podczas jednej z wojen. Rodzina ta, jak każda rodzina marynarzy, była zawsze ubogą. Ale to jeszcze nie racya, życzyć sobie śmierci tej biednej dziewczyny, ostatniej z ich rodu.

Markiz uczynił ruch, jakgdyby chciał przerwać jego słowa.

— Czy się pan kiedy głębiej nad tem zastanowił, panie markizie — zapytał dalej nieubłagany Allan.

— Nie zrozumieliśmy się, oto wszystko — odezwał się w końcu pan de Kermor. — Poza tem wszystkiem jest jedna kwestya, której nie poruszyliśmy dotąd. Kwestya honoru.

— Honor? — zawołał Allan — To kwestya już przecięta! Ten związek nie może stać się mezaliansem. Le Brennowie wari są Kermorów!

— Ale któż panu mówi o tem? Posłuchaj mnie lepiej.

— Więc chodzi o pieniądze! Tu się zrozumiemy, jak sądzę. Mam dla pana miłą niespodziankę, panie markizie. Janina le Brenn nie jest tak ubogą, jak pan sądzi. Janina le Brenn posiada... Ale ileż to baron de Bressien daje za swoją córką? Niechby sto milionów? Wiedz pan o tem, że ta młoda dziewczyna, ta ostatnia z biednej rodziny marynarzy, mieć będzie dwa razy tyle! Czy to dosyć przynajmniej?

Markiz de Kermor nie wiedział już co myśleć. Nie wiedział, czy Allan, ten sławny podróżnik i eksplorator oszalał nagle, czy też chce się zabawić jego kosztem. Nasuwało mu się również przypuszczenie, że stanął przed rzeczywistością zdumiewającą i niespodziewaną, która niekiedy spotyka ludzi najmniej do nich przygotowanych, lecz postanowił trzymać się w rezerwie i nie dać poznać przeciwnikowimiotającego nim zdumienia. Zresztą i Allan, który wpatrywał się w niego uporczywie i badawczo, wydawał się być niemniej od niego wzruszonym.

— Przypuśćmy w końcu — odezwał się po chwili, ze spokojną powagą — że Janina le Brenn jest tak znakomicie uposażona...

Allan przerwał mu natychmiast.

— Przypuśćmy — wybuchnął gwałtownie. — Pan, zdaje się, nie przywiązuje wielkiej wagi do słów moich. Potrzeba panu dowodów! I owszem, postawmy kwestye jasno, będzie to lepiej i dla mnie i dla pana. Otóż jest tak:

Janina le Brenn ma starego krewnego, bardzo bliskiego wuja, którego jest jedyną spadkobierczynią. Rozumie mnie pan dobrze, panie de Kermor? Jest siostrzenicą pewnego Franciszka Allana le Brenn, który przepadł niedys bez wieści i o którym sądzą, że już nie żyje. Otóż ten Franciszek le Brenn przez ten czas pracował i działał. Dzisiaj wypłynął znowu na widownię świata i nazywa się dla ludzi Great Allan. I jako Great Allan, może panu powiedzieć, że Janina le Brenn posiada dwa kroć sto milionów posagu. Jeżeli pan wątpi jeszcze, to proszę się bezzwłocznie zwrócić do pierwszego lepszego banku w Stanach Zjednoczonych, a stamtąd poinformują pana najlepiej. Czy to wystarcza?

— Niestety, nie... Jest jeszcze coś innego, tylko pozwólże mi pan nareszcie mówić.

— Słucham pana.

— Nie potrzebuję chyba zapewniać pana, że nie wiedziałem nic o tem pokrewieństwie, które mi pan odkrywa tak nagle. To, co mi pan mówił o rodzinie le Brenn, znanem mi było już dawno. Byli to zawsze ludzie uczciwi, pracowici. Ostatni z tego rodu, któregośmy znali, był Iwon le Brenn, który zginął bohaterską śmiercią.

— Iwon był moim bratem — odparł Allan poważnie — to był człowiek obowiązku i sumienia — ja zaś zamiast krwi, miałem żywe srebro w żyłach. Optściłem rodzinę i kraj jeszcze w dzieciennych latach i zaangażowałem się jako chłopiec okrętowy. Zwiedziłem kawał świata, ale nie chciałem z pustą kieszenią powracać do stron swoich rodzinnych. Szczęście uśmiechnęło się do mnie w późnych latach, kiedy już głowę miałem przyprószoną siwizną, ot tak, jakgdyby chciało zadrwić ze mnie. Bo na cóż mi był potrzebny majątek, kiedy sądziłem, że już nikt z moich nie żyje.

— Z wyjątkiem Janiny, córki Iwona, brata pańskiego.

— No i widzi pan markiz. Jestem jej wujem, ojcem prawie.

— Byliśmy jej opiekunami, ja i markiza, szczególnie ona. Uważała ją prawie za dziecko swoje.

— Co pan mówi?

— To, co jest koniecznem, aby pan zrozumiał sytuację. A więc to pokrewieństwo pana z nią, pamięć rodziny le Brenn i ten majątek nieprawdopodobny...

— Amerykański — zwykły majątek amerykański, to je zcze nic wielkiego.

— Niech i tak będzie. Nie wiedziałem o tem, a jednak słowem zaręczam panu, byłbym się zgodził nawet na mezalians.

— Wyczuwam szczerość w słowach pana, proszę dokończyć.

— Ale raz jeszcze jestem zmuszony powtórzyć, że to niemożliwe. I błagam pana, nie chce się dowiadywać dlaczego.

Allan oddechał z trudem, przygotowany na cios jakiś dotkliwy i patrzył na markizę, błądzący jak dziecko.

— To byłaby za wielka radość — szepnął, przecierając czoło ręką — tak odrazu przyczynić się do szczęścia dwojga ludzi. I to ja, Allan, włóczęga bezdomny, miałbym zakończyć życie bez niepokoju i troski. Musi pan mieć słusność, panie markizie, to niemożliwe. Jestem tylko zdolny do zbierania złota, z którym niewiem, co mam uczynić. A jednak muszę się dowiedzieć prawdy — kończył z ciężkiem westchnieniem. — Proszę, błagam, niech mi pan powie! Będzie to ostatnie w tem życiu rozczarowanie moje.

Markiz nie wiedział, jakich słów dobrać, aby nie urazić głębiej jeszcze tego człowieka, którego pomimo woli podziwiał i szanować musiał.

— Janina pozostała sama na świecie — zaczął, wahając się niepewnym głosem — wystawiona na wszystkie niebezpieczeństwa, chciała żyć, poznać Paryż, a to miasto staje się zgubą dla silniejszych od niej...

— Zgaduję. Czy pan markiz jest w posiadaniu pewnych faktów?

— Sekretarz mój poinformował mnie co do niej, od chwili zniknięcia mojego syna. Żadnej wątpliwości tu być nie może.

— Czy pan obdarza tego człowieka zupełnem zaufaniem?

— Tak jest, bez żadnych zastrzeżeń.

— A gdzie się ona znajduje obecnie?

— Powróciła do Roche-Kermor, idąc za radą markizy. Jest już tam od pewnego czasu.

— To szczególnie! — szepnął Allan, spoglądając ze smutkiem na fotografię trzymaną w ręce. Pan markiz mówi mi o niej w ten sposób, a w oczach jej, pełnych prostoty i naiwności, czytam coś wręcz przeciwnego. Zdaje mi się może, że godną jest jeszcze uczciwego nazwiska le Brennów, że została niesprawiedliwie spotwarzoną. Zdaje się mówić, że przeszkodą była w dopełnieniu bogatego małżeństwa i że chciano pozbyć się jej za wszelką cenę! Oto, w co zaczynam wierzyć, panie de Kermor. To będzie może śmieszne w oczach pana, ta wiara w pewną spójność myśli między tą biedną dziewczyną a mną, a jednak przeczuwam, że kryje ona w sobie jakiś cichy dramat, który obowiązkiem jest moim usunąć.

W tej chwili od drzwi dobiegło mówiących ciężkie jakieś westchnienie i słowa wymówione przerywanym szeptem:

— Tak, tak, Allan ma słusność! Oh! Boże! Dziękuję ci, powracasz mi życie!

Z piersi obojgu mężczyzn wybiegł przerażony okrzyk:

— Henryk! to Henryk! Słyszał wszystko!

Rzeczywiście chory, zbudzony żywą rozmową, dobiegającą go z drugiego pokoju i rozpoznawszy w jednym z mówiących ojca, usiadł na łóżku i mimowoli podłuszczył jego słowa. Zdziwiony i wzruszony tem, co usłyszał, zebrał wszystkie swoje siły, powstał z łóżka i narzuciwszy na siebie obszerny płaszcz flanelowy, przyczołgał się z trudem do drzwi, czepląc się mebli. Tam zaczajony wysłuchiwał całej rozmowy, z sercem przepełnionem nadzieją i radością bez granic. Zarzuty, którymi obarczano Janinę, rozwiewały się stopniowo pod wrażeniem gorących słów jego starego przyjaciela, a w duszy pozostało mu jedynie przeświadczenie o jego wielkiej, niezmięnionej miłości!

Nie mogąc się już opanować, wysunął się z framugi drzwi i posunął się kilka kroków naprzód, szepcząc do Allana urywane słowa podziękowania i wdzięczności.

W tej chwili ujrzał go Allan i widząc bladłość jego i osłabienie, pospieszył podtrzymać go ramieniem. Henryk nieprzytomny prawie z wrażenia objął go wychudłymi ramionami i rozplakał się jak dziecko.